

Jun'ichirō
Tanizaki

Miłość głupca

przełożył Nikodem Karolak



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Postaram się najszczerzej jak tylko potrafię, bez owijania w bawełnę, zrelacjonować dzieje naszego jedyne-
go w swoim rodzaju związku małżeńskiego. Zapis ten
będzie nie tylko świadectwem tych zdarzeń, które mnie
spotkały, cennych i trudnych do wyparcia z pamięci, ale
mniemam, że również Czytelnikowi posłuży on jako pe-
wien punkt odniesienia. Japonia coraz bardziej ujawnia
swe kosmopolityczne oblicze, a mieszkańcy naszego kra-
ju, nawiązując stopniowo kontakty z obcokrajowcami,
przekonują się do różnorodnych zachodnich doktryn
i ideologii. Takie nastały czasy, że zarówno mężczyźni,
jak i kobiety stają się coraz bardziej „skrojeni” na modłę
zachodnią, i choć dotychczas próżno było szukać zwią-
ków podobnych naszemu, niewątpliwie od tej pory za-
cznie ich tu i ówdzie przybywać.

Jeśli się dobrze zastanowię, muszę przyznać, że od sa-
mego początku byliśmy osobliwą parą. Po raz pierwszy
spotkałem moją przyszłą żonę niemal osiem lat temu,
choć dokładnej daty nie pamiętam. Pracowała wtedy
jako kelnerka w Diamond Cafe, niedaleko Kaminari-
mon¹, w dzielnicy Asakusa². Kiedy ją poznałem, była za-
ledwie piętnastoletnią dziewczynką, podlotkiem, który

jeszcze nawet nie pracował na pełen etat, a jedynie odbywał swoje pierwsze praktyki.

Sam nie wiem dokładnie, dlaczego uwagę dwudziesto-ośmioletniego mężczyzny, jakim wtedy byłem, przyciągnęła właśnie ta dziewczynka. Najprawdopodobniej zaintrygowało mnie jej imię. Wszyscy wołali na nią „Naο-chan”³, lecz gdy ją spytałem, okazało się, że naprawdę nazywa się Naomi. Od samego początku wzbudziło moją ciekawość. Naomi – jakże piękne imię, a zapisane alfabetem łacińskim nie różni się od tych zachodnich! I tak oto od tamtej pory zacząłem się jej bacznie przyglądać. Zaskakujące, że dzięki temu egzotycznemu imieniu wyglądała na bardziej pojętną, niczym kobieta Zachodu, i pomyślałem, że szkoda byłoby ją tak zostawić, aby marnowała się dalej w tej kawiarni.

Naomi przypominała Mary Pickford, ponieważ miała w twarzy coś z zachodnich rysów. Nie jest bynajmniej tak, że skoro wziąłem ją za żonę, to patrzę na nią przychylnym okiem. Wiele osób nawet teraz mówi o niej podobnie, więc pod tym względem nie mogę się mylić. Nie chodziło nawet o samą twarz, a o jej ciało, które spotęgowało to wrażenie, ale o tym naturalnie dowiedziałem się znacznie później. Gdy patrzyłem, z jaką z gracją nosi kimono, mogłem sobie na początku jedynie wyobrazić, że pod jego fałdami kryją się zapewne pełne kształty.

Uspodobienie piętnastoletniej dziewczynki może zrozumieć co najwyżej jej rodzona matka lub siostra – dla mnie w każdym razie było nieodgadnione. Naomi w tym okresie do wszystkiego podchodziła beznamiętnie. Dla obserwatora z zewnątrz mogła się wydawać wręcz ponura i małomówna. Jej twarz była blada, zupełnie

jakby składała się z nałożonych na siebie przezroczystych szkielek – wyglądała tym samym bardzo niezdrowo. Ponieważ pracowała w kawiarni od niedawna, w przeciwieństwie do innych kelnererek nie nakładała makijażu, a że nie miała jeszcze znajomych wśród pracowników czy klientów, urzędowała skulona w kącie niczym pracowita mróweczka i być może właśnie dlatego wywarła na mnie wrażenie pojętnej dziewczyny.

W tym miejscu powinienem napisać parę słów o sobie. Pracowałem wówczas jako inżynier w pewnej firmie elektrycznej, zarabiając miesięcznie sto pięćdziesiąt jenów. Urodziłem się w mieście Utsunomiya, w prefekturze Tochigi⁴. Tam też ukończyłem gimnazjum, a następnie przenieśliśmy się do Tokio, gdzie uczęszczałem do technikum w Kuramae⁵. Krótco po egzaminach końcowych zostałem inżynierem i każdego dnia, z wyjątkiem niedziel, dojeżdżałem z Shibaguchi⁶, gdzie wynajmowałem pokój, do miejsca pracy w Ōimachi⁷.

Ponieważ mieszkalem w hotelu pracowniczym i miałem stałą pensję, mogłem żyć swobodnie. Mimo że byłem najstarszym synem, nie miałem obowiązku wysyłania rodzinie pieniędzy na utrzymanie. Moi rodzice posiadali spore gospodarstwo rolne i chociaż ojciec już nie żył, moja matka, która była w podeszłym wieku, zajmowała się wszelkimi sprawami wspólnie z wujostwem, tak więc mogłem cieszyć się pełną wolnością. Jako przykładowy i rzetelny pracownik nie trwoniłem czasu na zabawy, starając się, podobnie jak reszta, nie odchyłać od norm i wykonywać swój zawód sumiennie, nie skarżąc się i nie użalając nad sobą. Ja – Kawai Jōji, taki w zasadzie byłem i uchodziłem wśród pracowników za męczyczynę z klasą.

Skoro jednak o przyjemnościach mowa, to wieczorami przesiadywałem w kinie, przechadzałem się ulicami dzielnicy Ginza⁸, a od czasu do czasu zdarzało mi się nawet nadszarpnąć trochę funduszy i wybrać się na sztukę w Teatrze Cesarskim⁹. Jako kawaler nie miałem nic przeciwko towarzystwu płci przeciwnej, ale ze względu na moją wiejską proveniencję, nie byłem obyty w towarzystwie, a kobiety się mnie nie trzymały. Nic zatem dziwnego, że w pracy przyszyto mi łąkę „dżentelmena”, którym byłem tylko z pozoru, bo w rzeczywistości przyglądałem się kobietom zawsze, kiedy tylko miałem ku temu sposobność, zarówno podczas spacerów po ulicach, jak i w porannym tramwaju. I tak oto przed moimi oczami stanęła w owym czasie niespodziewanie Naomi.

W żadnym wypadku nie była najpiękniejszą panną na świecie. W tramwajach, w foyer Teatru Cesarskiego czy na ulicach Ginzy można było z całą pewnością spotkać tłumy urodziwszych. Czas miał dopiero pokazać, czy piętnastoletnia Naomi wyrośnie na piękną kobietę. Wzmagало to z jednej strony oczekiwania, a z drugiej – wzbudzało niepokój. W pierwszej kolejności postanowiłem przygarnąć ją i zaopiekować się nią jak dzieckiem. Zapewniłbym jej pełną edukację, jeśli miałyby takie życzenie, a w przyszłości ewentualnie pojąłbym ją za żonę. Kierowało mną współczucie, ale chciałem też zmienić coś w moim szarym, monotonnym życiu. Miałem już dość mieszkania w hotelu pracowniczym, więc zapragnąłem wprowadzić odrobinę kolorytu i ciepła do mojej bezbarwnej codzienności. A może by tak wybudować sobie jakiś skromny domek, udekorować wnętrze, posadzić w ogródku rośliny, a na nasłonecznionej werandzie zawiesić klatkę z ptaszkiem? Do tego przydałaby

się jeszcze pokojówka, która zajęłaby się gotowaniem i sprzątaniem. Gdyby taka Naomi u mnie zamieszkała, miałbym ptaszka i pokojówkę w jednym...

Czytelnik może zapyta, czemu do tej pory nie stworzyłem żadnego statecznego związku i nie założyłem rodziny? Prawdę powiedziawszy, nie miałem tyle odwagi. Byłem człowiekiem zrównoważonym i dalekim od lekkomyślności, ale, co ciekawe, jeśli akurat o małżeństwo chodzi, podchodziłem do niego w dość postępowy sposób. Ludzie często podchodzą do żeniaczki w sposób konserwatywny i ceremonialny – najpierw zatrudniają swata, który dobiera pary według ich poglądów, a następnie udają się oni na *miai*¹⁰. Jeśli dwie strony nie mają żadnych przeciwwskazań, ustanawiany jest oficjalny pośrednik, wymienia się zaręczynowe prezenty, po czym żona wnosi odpowiedni posąg do domu pana młodego. Potem są jeszcze: procesja ślubna, miesiąc miodowy, wizyta u rodziny – mnóstwo męczących formalności, które były mi nie w smak. Jak już miałem się żenić, wołałem to zrobić w mniej skomplikowany i swobodniejszy sposób.

Gdybym wtedy chciał się starać o żonę, pewnie znalazłbym całą masę kandydatek. Może i miałem wiejskie pochodzenie, ale zachowywałem się kulturalnie i – jeśli sam o sobie mogę tak powiedzieć – byłem dobrze zbudowany i całkiem przystojny, a ponieważ w pracy darzono mnie zaufaniem, któraś panna na pewno z radością by się mną zaopiekowała. Problem w tym, że ja takiej „opieki” sobie nie życzyłem. Nieważne, jak piękna by to nie była kobieta, jedno czy dwa spotkania na *miai* nie wystarczyłyby, żebym mógł poznać jej charakter i usposobienie. Nie mogłem sobie pozwolić na taką głupotę, żeby na pierwszy rzut oka, bo „jakoś to będzie”

i „wygląda znośnie”, podjąć natychmiastową decyzję o wyborze partnerki na całe życie. Wydawało się zatem, że najlepszym rozwiązaniem będzie przygarnąć Naomi, poczekać aż dorośnie i potem ewentualnie wziąć ją za żonę. Śmiało mogłem się obejść bez wykształconej panny z bogatej, wpływowej rodziny.

Co więcej, zawiązanie przyjaźni z taką dziewczynką, zamieszkanie z nią i obserwowanie, jak z dnia na dzień dorasta, byłoby dla mnie czymś na kształt zabawy, która miała w sobie szczególny powab, różny od tego, jaki oferował konwencjonalny związek. Innymi słowy, mógłbym beztrudnie bawić się z Naomi w domu. Wiódłbym proste życie bez tych wszystkich piętujących się trosk, które niesie ze sobą prowadzenie gospodarstwa w ścisłym tego słowa znaczeniu. Takie oto miałem marzenie.

Obecnie dom japoński winien być wyposażony w komódki z szufladami, piec węglowy *hibachi*, maty do siedzenia – każde ułożone w określonym miejscu. Mąż, żona i pokojówka mają ścisły podział obowiązków, a do tego dochodzi jeszcze użeranie się z krewnymi i osobami z sąsiedztwa. Nie dość, że niepotrzebnie wydaje się na to wszystko pieniądze, to jeszcze rzeczy z natury proste stają się, całkiem odwrótnie, skomplikowane i uciążliwe. Nic więc dziwnego, że żadna w tym radość dla młodego mężczyzny. Gdy patrzyłem z tej perspektywy, mój plan wydawał się doskonały.

Po raz pierwszy powiedziałem o nim Naomi jakieś dwa miesiące po tym, jak się poznaliśmy. Przez ten cały czas, kiedy tylko miałem wolną chwilę, chodziłem do Diamond Cafe i wykorzystywałem każdą sposobność, żeby się z nią spoufalić. Naomi uwielbiała filmy, więc w wolne dni chodziliśmy do kina w parku. Po seansie

szliśmy posmakować zachodniej kuchni albo zjeść makaron *soba*¹¹. Nawet wtedy Naomi mówiła mało, a że wyglądała dość markotnie, trudno było odgadnąć, czy jej się to podoba, czy jest znudzona. Nigdy jednak nie odrzucała moich zaproszeń. „No, w sumie mogę iść” – odpowiadała zgodnie i szła ze mną wszędzie.

Nie wiedziałem, co o mnie myśli i dlaczego przystaje na moje towarzystwo. Ponieważ była jeszcze dzieckiem, pewnie nie przychodziła jej do głowy podejrzliwość w stosunku do mężczyzn. Wyobrażałem sobie, że patrzy na mnie przez pryzmat swojej dziewczęcej niewinności jak na dobrego wujka, który zabiera ją na jej ukochane filmy i zaprasza na kolacje. Czułem, jakby była moją wychowanką, i nie pragnąłem od niej żadnych wznioślejszych uczuć, a i sam nie ośmierałem się takowych okazać. Kiedy teraz wspominam tamte chwile, wydają mi się ulotne niczym sen, zupełnie jakbyśmy żyli w jakiejś zaczarowanej krainie z bajki, i muszę przyznać, że chętnie wróciłbym do tamtego niewinnego związku.

– No i jak, Naomi, widzisz dobrze? – pytałem, kiedy staliśmy w kinie z tyłu, bo akurat nie było wolnych miejsc.

– Nic nie widzę – odpowiadała i wyciągała szyję jak tylko mogła, starając się dostrzec cokolwiek pomiędzy głowami widzów.

– W ten sposób nic nie zobaczysz. Spróbuj lepiej wejść na tę poręcz i chwycić mnie za ramię.

Podnosiłem ją, a następnie sadzałem na drewnianej poręczy tak, że swobodnie wymachiwała nogami, jedną ręką trzymając się kurczowo mojego ramienia. Dopiero wtedy wyglądała na zadowoloną, kiedy z zapałem tchem oglądała ruchome obrazy.

– Podoba ci się?

– Podoba.

Odpowiadała zdawkowo i nie miała w zwyczaju kłaśkać w dłonie czy skakać z radości. Niczym czujny pies, wyęzający słuch na każdy dźwięk w oddali, z pełną uwagą śledziła zdarzenia na ekranie szeroko otwartymi, mądrymi oczyma, co pozwoliło mi wywnioskować, jak bardzo kocha kino.

– Naomi, a może jesteś głodna?

– Nie, nic nie chcę.

Zdarzało się, że odmawiała, ale kiedy faktycznie zgłodniała, odpowiadała „tak” bez żadnej rezerwy. Zapytana, czy woli iść na zachodnią kuchnię, czy zjeść makaron *soba*, wybierała to, na co akurat miała ochotę.

– Wiesz, Naomi, wyglądasz jak Mary Pickford – powiedziałem jej pewnego razu podczas kolacji, po seansie filmu, w którym akurat grała ta aktorka.

– Ach tak?

Nie sprawiała wrażenia szczególnie uradowanej i wpatrywała się we mnie zagadkowo, jakbym powiedział jakąś niestworzoną rzecz.

– Nie uważasz? – zagailem.

– Nie wiem, czy akurat do niej jestem podobna, ale wszyscy mi mówią, że wyglądam, jakbym była mieszanego pochodzenia – skwitowała stanowczo.

– Nic dziwnego, już samo imię masz egzotyczne. Kto ci je nadał?

– Nie wiem.

– Twój tata, a może mama?

– Nie wiem.

– Czym się zajmuje twój tata?

– Nie mam taty.

– A mama?

– Mam mamę.

– A rodzeństwo?

– Mam sporo, jest braciszek i dwie siostrzyczki, jedna młodsza, druga starsza.

Ten temat czasami powracał, ale za każdym razem, kiedy pytałem ją o rodzinę, robiła niezadowoloną minę i odpowiadała wymijająco. Kiedy mieliśmy wyjść razem, zazwyczaj dzień wcześniej umawialiśmy się, że spotkamy się na ławeczce w parku, przed świątynią bogini Kannon¹². Naomi nigdy nie zapominała o spotkaniach i zawsze była na czas. Jeśli z jakiegoś powodu zdarzyło mi się spóźnić, rozglądałem się z niepokojem, ale ona i tak wiernie czekała. Zauważywszy mnie, podnosiła się i żwawo kroczyła w moją stronę.

– Przepraszam cię, Naomi, pewnie długo musiałaś czekać?

– Tak, czekałam.

W jej tonie nie było śladu pretensji ani gniewu. Pewnego razu mieliśmy spotkać się na jednej z ławeczek, gdy nagle się rozpadło. Kiedy dotarłem na miejsce, zakłuło mnie w sercu na widok Naomi, która siedziała w kucki i czekała nieopodal stawu pod daszkiem chramu. Miała na sobie znoszone, jedwabne kimono z kolorową przepaską – zapewne po siostrze – włosy spięte w kok przypominający brzoskwinkę, twarz upudrowaną na białło, a do jej drobnych stópek przylegała para załatanych, ale stylowych białych *tabi*¹³. Kiedy zapytałem, dlaczego tylko w wolne dni spina włosy w japońskim stylu, odparła, jak miała w zwyczaju, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień:

– Bo tak mi kazano w domu.

– Już późno. Odprowadzę cię – zdarzało mi się wielokrotnie jej to proponować, ale ona za każdym razem odpowiadała:

– Nie trzeba. Mieszkam blisko, poradzę sobie.